



MARYA PORASKA (ALITA)

NA STRUNACH ZŁOTYCH LIR

Rechniej Technie
wstępny roz. 18
autor

Litopis dr. 18/18 1920

NA STRUNACH
ZŁOTYCH LIR

MARYA PORASKA

(ALITA)

NA STRUNACH ZŁOTYCH LIR

KRAKÓW o 1910



CM 313742

OZDOBY WYKONAŁ JAN MAŁACHOWSKI

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA
ODBITO W DRUKARNI W. L. ANCZYCA I S-KI W KRAKOWIE

Wpisań do Księgi Akcesji

Akc. DI nr 132 /2011/ CM

*Hej! Nie zrodzonam ja w kwiecistym borze,
Ni kątysana w siedmiobarwnej tęczy,
A kiedy milcząc nowe pieśni tworzę,
Łza najsmutniejszych w mojej harfie dźwięczy.*

*P. Maryi Sobolewskiej, Mistrzyni mojej,
Przyjacielowi dusz smutnych,*

poświęcam . . .



POWITANIE...

Na strunach złotych lir

Z dalekich dróg,
Powracam duszą stargana, rozbita,
Na chaty mojej próg!

Witaj mi ziemio!
Na Twoich wzgórzach białe brzozy drzemią;
Po złotych polach dojrzewają żyta,
Z nich łan błękitnych maków i kąkoli
Wykwita!

O Ziemio!
Między chatami orszaki topoli
W mgle się kołyszają;
Smugą barwistą łan łąkowy kwitnie,
Żółte kaczeńce chłodną rosą dyszą;
Po wodach białe pływają łabędzie,
Żórawie stadem szerokiem latają
W obłokach.
Chór skowronkowy pieśni swoje gędzie,
W poranki letnie;
A na odwieczarz jęczą a łkają
Pastusze fletnie,
W omrokach.

Omdlałe malwy popod cieniem wiśni
O spoczynku śnią,
W połyskach słońca płatki rozwijają,
I obudzone czekają,
Aż im się słodki sen majowy wyśni.
O ziemio!
Witaj mi, witaj!
Złotą mi zorzą
Zakwitaj,
W dyademie słońca stań!
I z rosą pomięszaj hożą
Potoki moich łkań!

Płacz-że mi, duszo, płacz!
Łzami tę Ziemię oblewaj,
Ze swoich wyrywaj strun
To co Cię boli, co kole,
Wszystkie tęsknoty, niedole,
W olśnieniu rannych łun
Wyśpiewaj!

Gra mi coś w duszy, gra!
Hej ha! Hej ha! Hej ha!
To ziemia ojców mnie wita,
O losy moje pyta
Hej ha! Hej ha! Hej ha!

I cóż Ci Ziemio odpowiem,
Cóż?

Przez lata życia wypiałam
Największą z kruz
Goryczy.
W bezdeniach smutku duch mój się tłukł;
I dniem i nocą tęskniłam
Za tem, co przeszło jak we śnie,
I nigdy, nigdy nie wskrześnie;
Łez moich nikt nie policzy,
A tylko jeden Bóg!

I cóż Ci Ziemię odpowiem?
Dosyć, że wracam ze zdrowiem.

O Ziemię witaj mi!
Niosę Ci moje łzy,
Niosę Ci moje westchnienia
Owite w szare mgły.
Niosę Ci ducha i pracę,
Nią plony Twoje wzbogacę,
O Ty!
Przypadam pierśmi do Twojego łona,
Ziemię Ty moja
Rodzona!...

O Ziemię witam Ciebie!
Myśl moja wiele dni
Ku Tobie się kolebie,
I oto dzisiaj przybiega,
By czerpać siłę z ożywczego źródła.

O Tobie serce moje lata śni.
Tyś mi jest niby puklerz i ostoja,
Tyś mi jest niby skarbnica ofiarna,
O Ziemi Święta!
Zsyłasz mi swoje złotodajne ziarna,
Do Twego brzegu
Leci mi dusza lodem smutków święta.

Biednaś Ty Ziemi, oj biedna!
Tygrysy pierś Ci rozdarły,
Z serca krew drogą wypłył,
Stargały Ciebie Ty wielka!
I zda się potworom dzikim,
Że Ty upadasz bez siły,
Że w Tobie wszystkie umarły
Pragnienia.
Że jęć Twój wrogów nie zjedna,
Żeś wyczerpana bólem i krzykiem,
Że dla Cię niema zbawienia.

O Ziemi! Ziemi! broń się!
Krwi Twojej każda kropelka
W Twem łonie,
Niech ogniem walki zapłonie,
Tyś przecie silna i mocna,
Mnogie ramiona wytężysz,
I zwyciężysz!

O Ziemi Matko!
Na Twych zagonach,

Każdy trud miły i praca owocna,
Ku Tobie tyle serc silnych wybija,
Miłośnicze.

A chociaż barki pod trudów brzemieniem
Gną się,
W stronę słońc Twoich wyciąga się szyja,
A oczy tęskne, w łez czystych osłonach,
Jesienią marzą o wiośnie.
Każdemu życie błogie na Twej glebie,
Każdy Cię wielbi, błogosławi Ciebie.

Źródłem dosytu,
Zaspokojeniem pragnień i płomieniem,
Który w nas wiarę odwieczną obudza,
Ty jesteś Ziemię!
Ani nas walka o wolność ostudza,
Boś Ty nam jedną nadzieją,
W pełni własnego rozkwitu.
Ni Ciebie wichrów pomruki rozwieją,
Ni Ciebie wrogie zaduszą oddechy,
Ni Cię dłoń żadna nie dotknie niszcząca.
O Ty,
Rzeko pociechy,
Kochanko słońca!

Błogosławioną bądź,
O Ziemię naszą!
W łzach siane ziarno — w plonach idziem żąć,
Niech Cię brzęk sierpów naszych nie przestrasza,

Nie chłodzi czarna rdza.
O Karmicielko!
Miłość ku Tobie zimną stal rozgrzeje;
My wierni synowie Twoi,
Pradziadów ziścić nadzieje
Idziem — u Twoich podwoi,
Ziemio serc smutnych,
Wybawicielko!



NA STRUNACH ZŁOTYCH LIR...

Przez wonne gaje, co się w bluszcze mają,
Przez ścieżyn miękki żwir,
Idą dziewczęta i grają
Na strunach złotych lir.

Smrekowy, ciemny las;
Na igłach jeszcze srebrne rosy wiszą,
Skąpane w szarych, spadających mgłach.
Noc je odchodząc zostawiła w gaju,
Kiedy ostatni blask miesiąca gasł,
I jak w ruczaju,
Przegląda się słońce,
W onych przezroczych, świeżej rosy łzach.

Koral jarzębin,
I kalinowe rozrośnięte grona,
W porannem świetle lekko się kołyszą;
Z zielonych dębin,
Wygląda żołędź z szerokich okiści,
Na leszczynowe się kładzie owoce,
Płacząca brzoza nisko pochylona.

A trawy całe zasnute,
Siecią pajęczą;
Wśród szerokiego ocienienia liści,
Chór ptaków hejnał codzienny świegoce,
Na rzewną nutę,
I dźwięczą
Tony tęsknotą i żalem — w bezkresie.
Strumień się toczy
Wartkiem korytem — po smrekowym lesie,
I patrzą w niego drzew pochyłych oczy.

Grających dziewic
Orszak przechodzi przez podleśny łąn...

Młody królewicz,
Wielkiej ziemi pan,
Zawołać kazał na swój złoty dwór
Dwanaście pięknych swych poddanych cór,
I ta królewską żoną zostać ma,
Która swe pieśni najpiękniejsze gra.

Idą dziewczęta przez łąn zlany rosą,
I swoje pieśni czarodziejskie niosą.

Czerni się w dali zamku wielki gmach,
Słychać kościelnych dzwonów złoty spiż,
Co się rozchodzi od szerokich bram,
I wszereż i wzwyż...

Królewicz sam
Nałożył szaty odświętne, strojne,
Przez ramię piękny przewiesił miecz;
Jasne ma włosy, oko bystre, szare,
Usta wydatne, nos orli,
Lica poważne, spokojne.
Drobnemi kroki chodzi wzdłuż i wstecz,
Zamkowej sali.

Na wielkich wschodach czynią wielką gwarę
Królewscy słudzy i pachotkowie,
W błękitne suknie siebie przyodziali,
Białe kołpaki pokładli na głowie.

Z oddali
Wyływa dziewic śpiewających głos.

Otwarto wrota — w przedsieni,
Słychać dwunastu białych lilij krok,
Dwanaście kwietnych wianków się zieleni,
Idą przez wschody do komnaty w bok
I tam stanęły w jednym rzędzie — kwiaty,
Czekając...

Przez mdłe kobierce
I barwne makaty
Królewicz wchodzi młody,
Dziwną bojaźnią uderza mu serce,
Jakowaś trwoga do duszy się zbliża.

Poblądły lica...

Za nim giermkowie, rycerze i krewni

Stąpają wolno...

Dwanaście skroni przed królem się zniża,

Pełnych dziewiczej krasy i urody.

Na dany znak

Wyszła najbliższej stojąca dziewica,

I pochyliwszy strojne w wianek czoło.

Zaczęła słodką pieśń...

Zabrzmiały struny liry dziewiczej,

Jak cherubinów precudny śpiew.

Poprzez modrzewi las tajemniczy,

Ponad konary najwyższych drzew,

Pieśń poleciała — jak ptak...

A za nią inne,

Jedna za drugą — drgały powoli.

Jak krople rosy,

Były w tych śpiewach czyste, niewinne,

Mknące gdzieś pod nieba szlak

Dziewczęce głosy...

.

Już jedenaście prześpiewało dziewic,

I na ostatnią padł królewski wzrok...

Jak młoda lilja kiedy liść rozchyła,
I do promyków jasnych kwiat obraca,
Tak ona,
Lekkimi ruchy młodego motyla,
Młodzieńczą krasą własną ukwiecona,
Przed towarzyszką postąpiła krok,
I do swych piersi przycisnęła lutnię. —

Oczy jej, jak dwa zaświeciły słońca,
I stała cicha...

Po chwili z małych, miękkich warg kielicha,
Wypłynął słodko głos jej miły, rzewny,
Jakaś pieśń inna, wyśpiewana, smutnie,
Szczera i prosta, za szczęściem tęskniąca.

I łkała lira pod dłonią królewny,...

.

Lecz nagle... załamał się głos...

Jakiś nieznany, niewidzialny cios,
W serce uderzył...

Dziewczyna zbladła...

Jak kosą cięty biały róży pąk,

Złocona lira wypadła

Z jej drobnych rąk...



Przez wonne gaje, co się w bluszcze mają,
Przez ścieżyn miękki żwir,
Idą dziewczęta młode i grają
Na strunach lir...

Na strunach lir złożonych,
Dziewczynie martwej snąć,
Co chciała w pieśń tęsknoty
Swą całą duszę wlać...



W SŁONCU...

Na strunach złotych lir

W LESIE.

Jakiż tu chłód, o jakiż cień,
W tym mchem utkanym lesie,
Znużona dusza w chwilach śnień,
W nieznane światy rwie się.

Opada igieł złotych stos,
Z powiewem wiatru płąsa,
I na mój płowy, lśniący włos,
Srebrzyste łzy otrząsa.

O! Gdybyś teraz przy mnie stał,
W tej leśnej, pustej głuszy,
I ręce moje w swoje brał,
Kochanku mojej duszy.

Gdybyśmy wsparli głowy dwie,
O pień złamanej sosny,
Wpłynęlibyśmy w błogim śnie,
W upojeń kraj radosny,

Jak oderwany z brzozy liść,
Myśl by nam w dal uciekła,
Ach! w taką chwilę można iść,
Chociażby na dno piekła.

TRYOLETY.

1.

Patrz, jak słodko woda pieści,
Białych lilij krzak złamany,
Jak go w swoje chwytą piany,
Patrz, jak słodko woda pieści
Rwie łodygi i szeleści,
Na rozkoszne wzywa tany,
Patrz, jak słodko woda pieści,
Białych lilij krzak złamany.

Kwiat się kręci nad głębiną,
Zapatrzony w zachód słońca,
Wodna fala go roztrąca,
Kwiat się kręci nad głębiną,
Łzy ze świeżych płatków płyną,
Gdzie lśni otchłań wód chwiejąca,
Kwiat się kręci nad głębiną,
Zapatrzony w zachód słońca.



Wir go chwyta i unosi,
W niezmierzoną otchłań wodną,
W snów tęczowych baśń pogodną,
Wir go chwyta i unosi,
Tchnieniem śmierci listki rosi,
Do dna piersią ciśnie chłodną,
Wir go chwyta i unosi,
W niezmierzoną otchłań wodną.

II.

Mój kochanku w słońca błyskach,
Jakże nęci miękka fala,
To się chwieje, to przewala,
Mój kochanku w słońca błyskach,
Na podwodnych obeliskach,
Jakiś zamek widać zdala,
Mój kochanku w słońca błyskach,
Jakże nęci miękka fala.

Podaj rękę — chwyćmy wiosła,
Do płynącej wsiądźmy łodzi,
Woda czoła nam ochłodzi,
Podaj rękę, chwyćmy wiosła,
Fala będzie czołno niosła,
Po błękitnych pian powodzi,
Podaj rękę, chwyćmy wiosła,
Do płynącej wsiądźmy łodzi.

Zapadniemy w toń otchłanną,
Jak te lilje na jeziorze.
Łódź błękitne piany porze,
Zapadniemy w toń otchłanną,
W złotych ułud bańkę szklaną,
W mgłach przejrzystych o wieczorze,
Zapadniemy w toń otchłanną,
Jak te lilje na jeziorze.

SKARGA...

Kwiatku róży, na twój listek,
Moje gorzkie płyną łzy,
Cały ból mój i żal wszystek,
W swoje płatki bierzesz ty.

Kiedy nocą gwiazd miliony,
Rozjaśniają srebrną straż,
W Twój różany kwiat pieszczony,
Moją smutną wtulam twarz.

Ni mnie w żalu nie ostudza,
Chór słowiczych rzewnych słów,
Ani z dumań mnie przebudza,
Ciche widmo złotych snów.

Nieraz chwilę rozmarzona,
Poję piersi wonią twą,
Lecz ból znów mi gnie ramiona,
I znów płynie łza za łzą...

ROZKOŁYSAŁA SIĘ PIEŚŃ...

Rozkołysała się pieśń wiosenna,
Rozkołysała,
Jako ptak lotny w modrem przestworzu,
Jak lilja biała...

Jak wiatr majowy, co to się rankiem,
Po mgłach kołacze,
Srebrzyste brzozy lekko potrąca,
I cicho płacze...

Jako ten opar, co w noc miesięczną,
W świetle się mieni,
I ginie niby obłok przejrzysty,
W chłodnej zieleni...

Jak owa rosa, co się po łąkach,
Łzami rozsiała,
Rozkołysała się pieśń słoneczna,
Rozkołysała...

DWIE WIOSNY.

1.

Z za gór, gdzieś od przepastnych, błękitnych prze-
[łączy,
Z pod nieba złoconego w śnieżne, ziemskie światy,
Jak wiatrem kołysany w mgle obłok skrzydlaty,
Idzie Wiosna — Królowa w słonecznej otęczy.

Idzie, a do jej drobnych lekkich stóp się chyli,
Cały zastęp jej dworzan paziów i rycerzy,
Ustawiony z jaskółek, z narcyzów — żołnierzy,
A otoczony gwardią przyboczną z motyli.

Idzie wiosna i ciepłe słońca blaski ciska,
Kołysząc trawy, kwiaty swoją duszną wonią,
Idzie, idzie a z piersi jej zdroj rosy tryska.

Śnieżysto — białe lilje do jej nóg się kłonią,
Słowiczy chór radosny, nad jej czołem dźwięczy,
Idzie Wiosna Królowa w słonecznej otęczy. —

11.

Wiosno mojego życia! Nie taka tyś jasna,
Jak ona otęcz świetlna nad czołem Królowej,
Istnienie moje dzisiaj wśród trudów osnowy,
Po tobie, niby chata wydaje się własna.

Ty nigdy słońcem w moich nie błysłaś źrenicach,
Przyszedł do mnie, gdy serce napoty złamane,
Nosłam w młodej piersi, smutne i stargane,
Gromami mego życia w walki błyskawicach.

O! ty nie kołysałaś mnie miodnym zapachem,
Przyszedł, jak jakieś straszne, szalone zjawisko,
I straż mi ustawiłaś ponad moim dachem.

Ducha Bólu z uśmiechem jak urągowisko,
I łkałaś mi pieśń dziką, co mi w duszy jęczy,
O Wiosno! Czemuś nie szła w słonecznej otęczy!

CUD...

Kędyś na lasy, na skalne groty,
W słoneczny błysk,
Płynie nade mną duch jakiś złoty,
Przez pasma rżysk.

Połami płaszcza ziemi dotyka,
Nizko się gnie,
Pochyla głowę, i znowu znika,
W przejrzystej mgle.

I znów po chwili buja w przestworzu,
Jak lotny ptak,
Kąpie się w światła bezkresnem morzu,
Mknąc w nieba szlak.

Otwieram oczy, kwitną dziewanny,
W kształt nikłych złud,
I tylko słońce obłok poranny
Zamienia w cud...

OTULIŁY MNIE MGŁY SINE...

Otuliły mnie mgły sine,
Otuliły mnie,
I na złotych skrzydłach płynę
Po błękitnej mgle.

Hej! śnią mi się w tej podróży
Łany bujnych łąk,
A śnieżyste płatki róży
Lecą z moich rąk.

Hej! śnią mi się srebrne rosy
U kwiecistych bram,
I kochanek ciemnowłosa,
Co pozostał sam...



NA HARFIE ŁEZ...

1.

Więc już nigdy, już nigdy... O jakąż ułudną,
Była chwila upojen w miłosnym zachwycie,
Nicią złotą, promienną tkało nam się życie,
O jakże kochać łatwo, zapomnieć — jak trudno...

Więc już nigdy, już nigdy siecią czarów cudną,
Dwie dusze oplątane nie staną w rozkwicie,
Umilkło rozkochanych serc wzajemne bicie,
Co drgało pieśnią szczęścia dźwięczną lecz obłudną.

Ta wiara, co nadzieję dała, i otuchą,
Karmita nasze myśli w godzinie zwątpienia,
Na każde słowo prośby pozostanie głuchą.

I będziem jak promyki wydarte z płomienia
Słońca, co chociaż czasem w przestworzu zawisną,
Ale bez siebie nigdy jaśniej nie rozbłyszczą.

11.

Wszystko minęło, wszystko... wspomnień naszych
Co kiedyś była taka nieskalanie biała, [karta,
I drogę w chmurną przyszłość jasno oświecała,
W dwóch duszach pozostanie nigdy niezatarta.

Ta miłość, co w gwiazd błyskach w półszale za-
[warta,
Zniknęła, jakby nigdy w życiu nie istniała,
Przed nami głucha pustka, tylko nam została,
Najczulsza struna serca napoły rozdarta.

W godzinach szarych zmierzchów czasem się kołaczą,
Omdlałych naszych wizyi nietykalne mary,
I z głuchym, strasznym jękiem nieukojnie płaczą.

Przed sobą uklękamy wtedy jak ofiary,
Dla których promyk szczęścia już nigdy nie wskrze-
[śnie,
Wspominać mamyż tylko... Jakżeż to boleśnie!

III.

Rozejdźmy się... na grobie naszych złotych marzeń,
Któreśmy niegdyś łkali niby sieć pajęczą,
Ostatnie skowronkowe pieśni tkliwie dźwięczą,
Jak echa nieuchwytnych, przeminionych zdarzeń!

O ciche! O mistyczne chwile przeobrażeń,
O ranki siedmiobarwną otulone tęczą!
Jakąż nam dziwną nutą w strunach serca jęczą,
Te dobre przypomnienia przestępczych wrażeń.

Rozejdźmy się, bo ręce nasze się nie splecą
Uściskiem, do którego dusze nasze drgały,
Odwieczną, nieukojną targane tęsknotą.

I serca nam ucichną, jak ptaków hejnały,
I rany się zagoją, te rany najkrwawsze,
Rozejdźmy się... czas nadszedł... na zawsze... na
[zawsze...

IV.

Już nigdy w nas się miłość zniczem nie rozpali,
Krwi naszej tętno żywszym nie zadrży oddechem,
Runiemy w otchłań bólu z tym śmiertelnym grzechem,
Żeśmy rozmyślnie serca nasze potargali.

Nie zbudzi w nas uczucia ni sztylet ze stali,
Ni wiara w nowe szczęście z wiosennym uśmiechem,
Ni skarga, co zajęknie najsmutniejszym echem,
Bośmy już wszystkie tchnienia rozpaczy oddali.

Szliśmy kiedyś do siebie przez Trwogi odmęty,
Przez Życia wielkie, czarne, niezmierzone piekło,
Pałac przed sobą samym wieczny ogień święty.

Dziś mamy różną drogę, własną krwią ociekłą
I z sercem poranionem, rozdartem na ćwierci,
Na harfie łez będziemy grać do samej śmierci...

V.

Jeśli Cię kiedy w życiu moja pieśń doleci,
I przejdzie przez próg Twojej rozbawionej chaty,
Niechaj Ci wniesie z sobą słońca snop bogaty,
Niech lśnieniem gwiazd misternych nad Tobą zaświeci.

Niech Ci słodko przypomni, żeśmy jeszcze dzieci.
Biegli nieraz przez łąki świeżej aromaty,
Żeśmy razem pachnące całowali kwiaty,
A Psyche na nas zdradne zastawiała sieci.

Nie przeczuliśmy wtedy, że te błogie dzieje
Skończą się, tak, jak wszystkie życiowe koleje,
Którymi codzień stąpa prawie każdy człowiek.

I nawet za minioną w radości godziną
Nigdy myśli w błękitne kraje nie popłyną,
Ani nawet łza jedna nie zwiśnie u powiek.

VI.

Kędyż mam Ciebie szukać królewiczu blady,
Z mglistej bajki tęczowej, z sennej opowieści,
Ściśnięte moje serce nadmiarem boleści,
Zatarte stóp Twych lekkich niewidoczne ślady.

Ani mi oto lecieć przez te drzew gromady,
Gdzie się tylko wśród igieł głuche echo mieści,
Ani mi się u ptaków dopytywać wieści,
I czekać odpowiedzi u wodnej kaskady.

Próżnobyłoby moje młode stopy pokrwawiła,
Na tej drodze ciernistej, której żadna siła
Nie mogła od kolczastych sideł oswobodzić.

Może Cię kiedyś spotkam, jeszcze nawet, może
Utkać Tobie spokojne dla szczęścia podłóżę,
I czarem swoich pieśni będę sen Twój słodzić.

VII.

Odszedłeś?... jakże prędko... nie wiem gdzie i kiedy,
I jak długie już odtąd upłynęły lata,
Już dawno ptak powracał z dalekiego świata,
Trzy razy kwitły krzaki umarłej rezedy.

Pamiętam tylko jedno... jak przez sen... że wtedy
W czeremchach stała moja modrzewiowa chata,
Że mnie nocy majowej osłaniała szata,
Odszedłeś?... ale nie wiem gdzie, ani też kiedy...

Gdy się księżyc z szarego wysunie obłoku,
Niejedną łzę gorącą dostrzeże w mem oku,
I pierś moją odsłoni drżącą po dawnemu.

A kiedy na mchy leśne twarzą bladą padam,
Nie czuję bicia serca i myślą nie władam,
Tylko płaczę i płaczę — sama nie wiem czemu...

VIII.

Więc już nigdy się więcej nie mamy zobaczyć,
Kochanku duszy mojej, przyleśny storczyku,
W ostatnich naszych uczuć przedśmiertnym zaniku,
Będziem się tylko sobie w widzeniach majaczyć?

Czas sobie wszystkie myśli i czyny przebaczyć,
O śpiewny moich gajów mistycznych słowiku,
W łopocie serc stęsknionych, w radosnym okrzyku,
Trudno nam prawdę stłumić albo przeinaczyć.

Czyż się możemy żegnać bez łez i bez żalu,
My, cośmy kiedyś duchem byli połączeni,
W jedną tęczę niebieską, w jedną łzę opalu.

I nigdy się już więcej w tem życiu tułaczem
Nie mamy spotkać radzi, albo udręczeni,
Ani siebie powitać śmiechem, albo płaczem?...



Z RÓŻNYCH CHWIL...

ŚNIA MI SIĘ...

Śnią mi się nieraz jakieś nieznane oblicza,
Włosów ciemnych, puszystych, nieuchwytnie płasz-
[cze,

Czasami jakaś ręka dłonie moje głaszcze,
Ręka dziwnie przytulna, miękka tajemnicza.

Na skroniach wtedy czuję spokojne oddechy,
Jakieś usta gorące na głowie się kładną,
I z czarem pocałunków płyną w duszę na dno,
Rozkoszą przepojone, anielskie uśmiechy.

Nie wiem dlaczego, ale, kiedy myśl mi pała,
Wspomnieniem snu takiego, co się świetlnym zdaje,
Na setne części męką, serce mi się kraje,
I strasznie jestem smutna, i dziwnie zbolała.

ZACHWYCENIE...

O! słodkie, o kojące łąk skoszonych wonie,
Srebrzystej, chłodnej rosy pocałunki letnie,
O! rzewne pastuszane, czarodziejskie fletnie,
O! kwiaty, na ojczystym wyrosłe zagonie...

Na ziemię padam piersią;... bzy mi liściem trzęsą,
Do mojej płowej głowy jaśmin się przegina,
Za włos mnie paproć chwyta, całuje kalina,
Śnieżysto-biały narcyz złotą mruga rzęsą.

Noc cicha, wonna, jasna, gwiazdami płynąca,
Trawa rosą sperlona piersią swoją dysze,
Ustami memi boskie z niej pijam haszysze,
Na cześć nocy i kwiatów, i wiosny i słońca!

ZMIERZCH PADA...

Zmierzch pada... taki szary... już nie widać pra-
[wie,
W omgle nikłej, wieczornej kiści wodnej trzciny,
Ani kwiatów puszystych wodnej rokieciny,
Ani białych łabędzi płynących po stawie.

O! Jakaż słodką cisza, — nie słyszać po prostu,
Brzęku pszczoł całujących kwiaty miodopłynne,
Ani się ozwą świerszcze i koniki zwinne,
Między trawą zieloną i kępami ostu.

Księżycą tarcza srebrna z omroków wschodząca,
Bogaty pas deseni na wodzie wyszywa,
Po liściach się pajęczce kołyszają przędzywa,
A wiatr je swoim skrzydłem powoli roztrąca.

SPADAJĄCE GWIAZDY...

Patrzę w niebo... gwiazd tyle — w różnych punk-
[tach lśnią się,
Jak błyski nieprzyćmione mistycznych dyamentów,
Pomiędzy ciemnym płaszczem wielkich firmamen-
[tów,
Mrugają bezustannie w nieuchwytnym płasie.

Czy widzisz? Spadła jedna, za nią druga — trzeciej,
Nie widać już w bezmiarze, mignęła i zgasła,
I oto tysiąc innych daje sobie hasła,
Tylko patrzeć, a cały hufiec srebrny zleci.

Wyciągam ręce — gdybyż choć pochwycić jedną,
Taką gwiazdę najmniejszą, jasną, brylantową,
Najwyższych żądań wyrzec nieziszczone słowo...
Za trudno — gwiazdy zdala tylko drżą i bledną.

BEZSENNOŚĆ...

Nie mogę dzisiaj zasnąć — przed oczyma memi,
Jakieś wizye okropne, pół-dzikie się bielą,
Na duszę mi otchłanną zapadły topielą,
Godziny długie, głuche, których końca niema,

W każdym kącie pokoju w ciemnościach kołaczą,
Zolbrzymiałe w północy nieuchwytne cienie,
Po ścianach się powoli przesuwa Milczenie,
Do mózgu straszne widma prą się i kołaczą.

I czuję, jak mi w skroniach tętni krew gorąca,
Jak dziwną trwogą nocną serce mi uderza,
Zamykam senne oczy, a myśl moja zmierza,
Do kraju wiecznych kwiatów i wiecznego słońca.

SĄ JEDNE OCZY...

Są jedne oczy, w których, jak w otwartej księdze,
Mogę czytać to wszystko, co się w duszy mieści,
Zgaduję wszystkie myśli najzawilszej treści,
I nurzam umysł własny, w cnót wielkich potędzie.

Są jedne takie oczy, w których się odbiło,
Nieskalane występkiem żadnym ciche życie,
Zciemniona tarcza słońca, huraganów bicie,
Całe morze zawodów, co w dniu serca tkwiło.

O wszystkich moich smutkach i łzach zapominam,
Gdy patrzę w takie jasne, przyjacielskie oczy,
Kolisko nowych pragnień przede mną się toczy,
I nową jakąś wiarą oddychać zacynam.

KWIATY MI WIĘDNA...

Kwiaty mi więdną w ręku — nie wiem co to znaczy,
Toż rosa białe płatki żywi od świtania,
Czyżby cicho nadeszła chwila ich konania,
I Parki nie ich życia przecięły w rozpacz.

Śmierć, jak złoczyńca do mych kwiatów się pod-
[krada,
Szeleszcząc niewidomych skrzydeł aksamitem,
Drżą lilje, śnieżnych listków sypią się rozkwitem,
Złocisto-biała gałąź na ziemię opada.

O! kwiaty, ja was memi podlewałam łzami,
Chroniłam was przed gradem, odpędzałam deszcze,
Chwytałam w piersi własne oddechy złowieszcze,
A dziś — rozstać się muszę moje kwiaty z wami.

PAŹDZIERNIKOWY DZIEŃ...

Taki ponury, zamglony i szary,
Październikowy rozpląkał się dzień,
Po ścianach nikłe ślizgają się mary,
Z okna złowróżbny wysuwa się cień.

Deszcz cicho pluszcze, — o szyby uderza,
Jakby skrzydłami zabłąkany ptak,
Wolnemi kroki starego żołnierza,
Stąpa jesieni nieomylny znak.

Wiatr głucho jęczy; beznadziejnym dreszczem,
Ciepłego lata zapowiada kres,
Radabym duszę wypłakać z tym deszczem,
Ale mi brakło i żalu i łez...

ZJAWISKO...

Zda mi się nieraz nocą, że przez dziwne czary,
Wypłynię do mnie z mroków świetlane zjawisko,
I twarz swą do mej twarzy przysunie tak blisko,
Że dwojga ust się złączą nadziemskie nektary.

Że ręce nierozdzielny węzłem się zaplotą,
I dobra jedna głowa na skroniach zawiśnie,
Przytulne, drogie ramię kibić mi uściśnie,
A jasne oczy spojrzą słoneczną poźłotą.

I widzę, jak się do mnie uśmiecha boleśnie,
Taka dobrze znajoma, ukochana postać,
Lecz chociaż idę za nią nie mogę jej dostać;
Nigdy, ani na jawie, ani nawet we śnie.

WĘDRÓWKA...

Czasami, gdy już ziemia w mrokach się pograży,
I w niebie gwiazdy tkają misterne przedziwa,
Duch mój się z więzów ciała w bezmiary wyrywa,
I ku polom niebieskim do dróg mlecznych dąży.

Zatracam wtedy całkiem wszelaką świadomość,
Głowę na moje piersi opuszczam bezwiednie,
Żadne mi wtedy słońce przed wzrokiem nie blednie,
I nie drażni mnie życia najmniejsza znikomość.

A duch mój hen — pod niebem, niby cień pokutny,
Płynie i oczy swoje ku gwiazdom obraca,
Ale za chwilę znowu ku ziemi powraca,
Jeszcze więcej znękany, zbolały i smutny.

JESIENNY WIECZÓR...

Głuchą symfonię deszcz o szyby dzwoni,
Wiatr swoje jęki zawodzi tułacze,
Łza łzę potrąca, jedną tysiąc goni,
Jesienne niebo miljonem łez płacze.

Zeschnięte liście pożółkłe, zczerniałe,
Za każdym zimnym podmuchem z drzew lecą,
Na mokrą ziemię się kładą omdlałe,
I w szarym zmroku srebrem kropel świecą.

Ach! W taki wieczór, gdy się w mgły owijać
Zaczyna wszystko, co żyje na ziemi,
Chciałabym głową o mury rozbijać,
I duszę szarpać rękami własnymi.

PIERWSZY ŚNIEG...

Na moje włosy upadł pierwszy śnieg,
Białością okrył głowę,
Misterny w wietrze rzeźbiąc wolno ścieg,
Warkocze owiał płowe.

Stanęłam w perłach zmarzniętych dziś ros,
W błyszczący strojna dyadem,
I rozsypało się złoto mych kos,
Pod lśniących gwiazd opadem.

Kobiercem miękkim puch w bezdrożach legł,
I runie skrył łąkowe.

.

Na moje włosy upadł pierwszy śnieg,
Warkocze owiał płowe...



SONETY...

STRASZNY DWÓR...

Obłądny poświst wiatru z poza granic świata,
Rząd szarych, pochylonych, zamarłych topoli,
Dwór straszny, zapadnięty, pełen melancholii,
Tu ojciec zabił matkę, siostra struła brata.

Jęk dziwny z zimnych murów w bezkresy wylata,
I błądzi po zagonach zachwaszczonej roli,
Tu nigdy nikt spokojnej nie przeżywał doli,
I nigdy nie gościła słoneczna poświata.

Codziennie o północy, gdy zegar uderza,
I z pustych pni wypływa głuchy krzyk pułaczy,
Postać biała przez krzaki ku dworowi zmierza,

Zawianą piaskiem drogę, krwią czerwoną znaczy,
A do niej chłopię młode przytulone bokiem,
Niosąc dzbany łez pełne — wolnym stąpa krokiem.

NOC GÓRSKA...

I.

Kraina rajskich cudów, czarów świat baśniowy,
Kamienna, tęsknot pełna skalna okolica,
Młodzieńczych złotych rojeń i snów powiernica,
Zaklęta w zwał posągów zimny, granitowy.

Z bezmiarów nieba pada odblask księżycowy,
I jasnem lśnieniem oczy wędrowca zachwyca,
Niekiedy gdzieś o kamień potrąci kozica,
I szmerem lekkim przerwie spokój wieczorowy.

O błogie ukojenie z szarych skał płynące,
Cichy szumie potoku z pianistej sikławy,
O ciemne smreki wonią balsamiczną tchnące!

Uroki nocy górskiej kryje mrok srebrnawy,
A cichy szept gałęzi co płynie po lesie,
Przedziwne zadumanie w duszę moją niesie.

11.

Zwolna mroki pierzchają, noc tatrzańska znika,
Z za obłoków hen! promień przedziera zenity,
Jeszcze chwila, a brzaskiem zapłoną gór szczyty,
Które cień w swych ramionach na krótko zamyka.

Głos jakiś przemknął gamma — może śmiech cho-
[chlika,
Co w dalekiej gdzieś skale zamieszkał ukryty,
A teraz, kiedy ranne zbudziły go świty,
Hymn wielki na cześć słońca z szumem drzew wy-
[krzyka.

Dokoła życie tryska — lśnią łzy młodej rosy,
Wszystkie ptaki poranne zaczynają chóry,
I lecą przez obłoki przeróżne odgłosy.

Chylę czoło przed wielką potęgą natury,
A patrząc na te skały, których nic nie skruszy,
Stawiam Bogu ołtarze w świątyni mej duszy.

VENUS...

Na ciężkim piedestale z szarego marmuru, .
Nad źródłem, co fontanną srebrną w górę bije,
Naga Venus wyciąga swą łabędzią szyję,
Wsluchana w słodkie tony ptaszącego chóru.

Poranny szum przyleśny, łącząc się do wtóru,
Przebudza prawie wszystko, co w naturze żyje,
Boska Venus rękami białe kształty kryje,
I patrzy w płomieniste przedświty lazuru.

Spływają w smugę światła przejrzyste opary,
Trzepocą skrzydłem roje lecących motyli,
I słysząc w gąszczu rajskie, słowicze pogwary.

Nad ziemią idzie senna, przedziwna omdłałość,
A ciemny bluszcz, co liściem na posąg się chyli,
Całując boskich bioder aksamitną białość.

SIEJBA...

Siew rzucam w rolę własną spaloną i czarną,
Z niej oto złote zboże ma mi się narodzić,
W zorane świeżo skiby muszę wolno wchodzić,
I sypać z lnianej płachty gęsto żytne ziarno.

Na ołtarz składam Bogu daninę ofiarną,
By zechciał moim plonom obficie dogodzić,
Ja sama będę łzami codzien ziemię chłodzić,
Gdy słońce rzuci z nieba wielką jasność skwarną.

A kiedy zbiorę tłuste żytniane owoce,
Na mąkę białą w młynie całe plony zmielę,
I kęsem mego chleba z bliźnim się podzielę.

Pożywną garścią zboża otrę łzy sieroce,
Do chaty mojej przyjmę niemych, ociemniałych,
Napoję tych co pragną, nakarmię zgłodniałych.

PASIEKA...

W pasiece mojej wielkiej puste ule sterczą,
Zbierania słodkich miodów przeszedł czas wesoły,
W komórkach leżą martwe robotnice pszczoły,
Zgłodzone jakąś ręką chytrą i morderczą.

O zmroku śmierć wysuwa swoją twarz szyderczą,
Okropnym wzrokiem miażdży trudy i mozoły,
Ponuro jęczą sosny, drżą liście jemioły,
Wpatrzzone z dzikim lękiem w zagładę bluźnierczą.

Z rozdartych pni się sączą krople miodów wonnych,
Złocisty płyn przejrzystą smugą się wylewa,
Z resztką pszczół wpółomdlałych w odruchach
[przedzgonnych.

I oto nie znać prawie, że w tych kłodach drzewa,
Drgało życie owadów ciche, beznamietne,
O! smutne pracownice, gospodynie skrzętne!

NAZWALI MNIE SZALONĄ.

Nazwali mnie szaloną, dlatego żem chciała
Zakłać wszystkie łzy ludzkie w moją harfę złotą,
Że tylko jednym smutkiem i niemą tęsknotą,
Do lepszych dni dla innych dusza mi pałała.

Nazwali mnie bez serca — bom z ran wyciągała,
Z ran ludzkich szmat przegniłych zakrzepnięte błoto,
Żem dłonie moje krwawą walała robotą,
Chcąc odjąć dziecku rękę, którą broń strzaskała.

Nieprawda, nie szalonam i mam serce w łonie,
Które Zniczem poświęceń dla nędzarzy płonie.
Łza każda i ból innych do dna je przewierca.

Więc milczcie, bo bluźnierstwo usta wasze rani,
I próżno duszę moją spycha do otchłani,
O ludzie, to wy nie ja, wy nie macie serca!

TAM U NAS...

W przypołudnie jesienne szpakowate konie,
Ciagną wolno od pracy błyszczące lemieszce,
Dziewczyna młoda w słońcu len złoty czyści,
A twarz jej uśmiechnięta krasą kwietną płonie.

Nitki babiego lata na polnym zagonie,
Wznoszą się i spadają, ku dziatwy uciebie.
Nad ziemią szarych ptaków niezliczone rzesze,
Płyną w szybkich zakrętach ku nieba osłonie.

Tam u nas pewno także o tej rannej porze,
Niejeden lśniącym pługiem własną skibę orze,
Kiedy cisza w przestworzu gości wniebowzięta

O! jakżeście daleko moje nitki lniane,
Niby sieci pajęczne po trawie rozwiane,
O! jakżeś mi daleko Polska Ziemia Święta!

Smiechow pod Pragę Czeską, 1908.

ŚWIĘTY BOŻE!...

Z niskiej nawy białego, górskiego kościoła,
Ponad lasy i pasma słońcem lśniących łąków,
Biją w niebo potężne odgłosy organów,
I czysty dzwonek z wieży na modlitwę woła.

Od złomów skał urwistych, nad toń oceanów,
Płyną śpiewy wieśniacze, a hen dookoła,
Widać białe siermięgi i schylone czoła,
Górali podtatrzańskich, pięknej ziemi panów.

Oni tu błagać przyszli w największej pokorze,
Tego, Który górami i morzami rządzi,
O zdrowie dla najbliższych i o pełne zboże.

I oto, gdy się w górę wznosi dym kadzielný,
Hymn wielki z setek piersi, pod sklepieniem błądzi;
O! Święty Boże Mocny! Święty! Nieśmiertelny!

Zakopane, 1908.

ZAWÓD...

I.

Chatę moją na wielkie ustroiłam święto,
Bo oto do mnie dzisiaj po łzach chłodnej rosy,
Przyjdzie nocą kochanek piękny, ciemnowłosy,
I powita mi oczy twarzą uśmiechniętą.

Po izbie rozpostarłam kłosów falę zżętą,
W jej gęstwie ścichną kroków najłżejsze odgłosy,
Na ścianach zawiesiłam kwieciste pokosy.
I lekko je przeplotłam tymianem i miętą.

Przez młody gaj różany, po kobiercu z liści,
Przyjdzie do mnie kochanek młody, jasnooki,
Blask słońca wniesie z sobą, i sny moje ziści.

Dokoła już mknie cisza i przytulne mroki,

.

Łzy moje, perły białe na nici nawlekam,
I na prędkie kochanka mego przyjście czekam.

11.

Do izby mojej księżyc przez mgliste roztocze,
Wpływa, i światłem płąsa po zżętej otawie,
Słyszę, jak już ostatni łabędź mknie po stawie,
I głośno trąca skrzydłem w otchłanne przezrocze.

Ogromne, złotem lśniące rozplotłam warkocze,
Schyliłam moją głowę i ległam na ławie,
Przyjdź do mnie! Szyję Twoją w uściskach opławię,
Spojrzeniem rozkochanem Twoją twarz otoczę...

Przymknęłam dłonią oczy... Zanim dzień powita
Ziemię — i słońce nowym rozbłyśnie promieniem,
Przyjdź, oto dusza moja do Ciebie rozkwita

Tęsknym zarem pragnienia, i pieśczęt płomieniem.
Przyjdź!... Wargi koralowe wpij mi w moje usta...

.
Co to? Świta!... Sen pierzchnął... Chata moja
[pusta...]

KLEOPATRA...

Oparta o wezgłowie, wonne, złotolitne,
Tkanina purpurowa biel kształtów spowija,
Na ciemnem tle posłania wyciągnięta szyja,
To piękna Kleopatra roi sny błękitne.

Na biodrze jej złożywszy ciało aksamitne,
Pełzając wolnym ruchem, posuwa się żmija,
Kibić śnieżną zimnemi kręgami owija,
I wciska w pierś drgającą żądło jadem sytne.

Olbrzymia, senna cisza zaległa komnaty,
Kadzideł mdłe zapachy z lekka się kołyszają,
Spadając obłokami na lśniące makaty.

Rośliny egzotyczne ciężko liściem dyszą,
W ich cieniu, w wieńcach kwiatnych wolną śmierć
[cią kona,
Królowa Kleopatra ze żmiją u łona.

PRZED NOCĄ...

Z za obłoków świetlistych noc się ciemna ciśnie,
I tchnieniem chłodnych wichrów szare chmurki
[miota,
Jeszcze się nie ukryła słoneczna pozłota,
Jeszcze drżą w jasnym blasku jabłonie i wiśnie.

Jeszcze, nim błądy księżyc na niebie zawisnie,
I szarość nieuchwytna cały świat omota,
Niejedna w duszach ludzkich zbudzi się tęsknota,
Niejeden żar radości w młodych oczach błysnie.

Nim zejdziesz nocy ciemna z za mglistych uwięzi,
Nim zdmuchniesz śnieżne płatki z wiśniowych ga-
[łęzi,
Pozwól niech w blaskach słońca długo pozostanę.

Niech mnie światła przewodnie na wyżyny wiodą,
Niech mi złocą weselem moją duszę młodą,
I niech mnie czule pieścżą dłonie ukochane.

RANEK...

Ranek wstał złoto — skrzydły — omgłą podobło-
[czną,

Zwisnął lekko nad ziemią we śnie pogrążoną,
Drgnęło rosą srebrzystą łąki bujne łono,
Jak gdyby wiatr je dłonią dotknął niewidoczną.

Położ kwiaty na trawie — niech i one spoczną,
Zbyt długo szliśmy nocą ścieżyną zieloną.
Opadły moje włosy falą rozwichrzoną,
I skryły mi źrenicę zasłoną uroczną.

Siądźmy... pustka dokoła... a piersi tej ziemi,
Nawet ptak nie potrąca skrzydłami lekkimi
I nikt nas tu nie słyszy, i nikt nas nie widzi.

Czasem rosa na listkach spokojnie błyszcząca,
Na piasek żółty lecąc żdźbła trawy potrąca,
Lecz, ani nas zrozumie, ani też wyszydzi...

NA ŚNIEGU...

Na szybach mróz wyrzeźbił kryształowe wzory,
A śnieg na długich polach gęstym płaszczem leży,
Ziemia drzemie spokojnie w zimowej odzieży,
Śpią cicho młode gaje i odwieczne bory.

Wysokie drzewa stoją, jak białe upiory,
Gdźieniegdzie widać jeszcze zielony pęd świeży,
Czasem dzięcioł w gałęzie swym dzióbem uderzy,
Lub w locie drobnych skrzydeł ukaże kolory.

Niekiedy przez ścieżyny przejdą szare wrony,
Albo kruk czarno-pióry zatopi swe szpony,
W białą szatę śniegową w miękką pościel ziemi.

Lub też, wróble nieśmiało ćwierkając o wiosnie,
Małe skrzydła na śniegu wytrzepią radośnie,
I w słońce się zapatrzą oczyma czarnymi. —

WSPOMNIENIE...

Wspomnienie — to żałośnie wyśpiewana nuta,
Jęk dzwonu słyszanego w wichrowym poszumie,
To głębsze drgnienie serca w spokojnej zadumie,
Echo pieśni, co smutkiem często jest osnuta.

To odgłos bijącego o kamienie dłuta,
Miejsce wzlotu którego, każdy poznać umie,
To krótki krzyk ptaszęcy w pustynnym Samumie,
Prawda do duszy naszej misternie przykuta.

Wspomnienie — to czasami jutrzienka różowa,
Która błyskiem pogodnym owija nam czoła
I na każde skinienie zaświecić gotowa.

Wspomnienie — to lot szybki ścigłego sokoła,
A czasem ból własnemu wydzierany łonu,
Który nas nie opuszcza, aż do chwili zgonu.

SŁODKIE WONIE...

Słodkie wonie jaśminów, bzów zapachy młode,
Czeremch płatki rozkwitłe w ubielonej szacie,
Wszystko cicho przychodzi w wiosny majestacie,
I wnosi z sobą na świat słoneczną pogodę.

Hej, rozpogódź dziewczyno różaną urodę,
Rozjaśnij białe czoło po zimy zatracie,
Kochanek ciemnowłosa czeka w twojej chacie,
Chce do ust twych przytulić, swoich warg jagodę.

Świat cały płonie chwilą przepotężnej Ciszy...
Idź-że prędzej dziewczyno, nikt was nie usłyszy,
Ani waszych całunków dzisiaj nie zobaczy.

Śpiesz się dziewczę, bo czas ten tak szybko ucieka,
Kochanek upragniony za długo już czeka,
A jutro? jutro może cię witać inaczej...

JESIENIĄ...

Ciężki podmuch jesieni, mglista przestrzeń nieba,
Do każdej smutnej duszy wkrada się uciskiem,
Serce tęskni za każdym promienistym błyskiem,
I pragnie ciepła tak, jak głodne usta chleba.

Przeziąknięta wilgocią urodzajna gleba,
Czerni się zardzewiałem, zapadniętem rżyskiem,
Czasami siwy jastrząb przemknie^o nad ścierniskiem,
Słońca trochę dla ludzi, i dla ziemi trzeba.

Sto razy wraca jesień przez wiek, i sto razy,
Majaczeją przed wzrokiem ponure obrazy,
I do głębi jestestwa przenikają skrycie.

Chmurne niebo posępnie zawisa nad mgłami,
Smutek z niego się sący z deszczowymi łzami,
Wszystko szare i mgliste, jak i ludzkie życie.

W SIERPNIOWY WIECZÓR...

Sierpniowy wieczór zgasił słoneczną spiekotę,
I zapadł na pół świata cienistą oponą;
Na wzniesieniu kamiennem pod sosną zieloną,
Obłąkana księżniczka trąca w struny złote.

Ukończyły już pszczoły codzienną robotę,
I wleciały do ulów gęstwą niezliczoną,
Obłąkana królewna pod nocy osłoną,
Ucisza pieśnią serca bezbrzeżną tęsknotę.

Rozwiały się jej włosy pod wieczornym chłodem,
Który wolno zawładnął szerokim ogrodem,
I rozlał się po świecie w głębokiem milczeniu.

Na niebo wpłynął lekko srebrny sierp miesiąca,
A księżniczka w złocistą lutnię jeszcze trąca,
I na swego kochanka woła po imieniu.

LUBIĘ PATRZEĆ...

Lubię patrzeć w głębokie przezrocza strumieni,
I wtłaczać wzrok mój silny w czystą wodę do dna,
Lubię, gdy mknąca fala spokojna i chłodna,
Pod mojem okiem nagle zmąci się i spieni.

Lubię patrzeć w tło jasne, pełne zmiennych cieni,
I barw tęczowych, w które woda bywa płodna,
Lubię, gdy dusza moja różnych wrażeń głodna,
Nagle się nowym błyskiem złudzeń opromieni,

Lubię szmery swobodne kryształowej toni,
Zimnego serca wody tajemnicze tętno,
Które echem w mej piersi o wieczorze dzwoni.

I wgłębiam słuch w pieśń fali cichą, beznamiętą,
Która, w mdłego przestworza, bezbarwnej opończy,
Płynie w bezmiar potężny, niby gołąb rączy.

W GNIEŹDZIE MOJEM...

W zaszczupłym gnieździe mojem dziwnie mi jest
[ciasno,
Za małe dla mnie ściany, za duszne powietrze,
Kiedy świt złoto-szary przez obłok się przetrze,
Nie wiem, gdzie mam umieścić zmęczoną myśl
[własną.

Kiedy na ciemnem niebie mleczne drogi gasną,
I świergot wolnych ptaków odezwie się w wietrze,
Rozjaśniam moje lica od chmur białych bledsze
I myślą ulatuję w świata przestrzeń jasną.

I o skalne krawędzie, o nadmorskie brzegi,
Gdzie słońce koronkowe wyrzeźbiło ściegi,
W zadumie mojej wielkiej rozmarzona trącam,

Bajeczne głębie jezior w oczy moje chwytam,
I alpejskich pastuchów o drogę się pytam,
I spokój górskim orłom wesoło zamącam.

MYŚL...

Myśl moja — przepotężne to królestwo ducha,
To tarcza mego słońca nie zaćmiona niczem,
Mgliste widmo spokoju z pogodnem obliczem,
Które lawą swych uczuć jak wulkan wybucha.

Nikt jej w locie nie wstrzyma, nikogo nie słucho,
Kiedy w chwili tworzenia jasnym płonie zniczem,
Ni ją zwabia rozkosze swem tchnieniem zwodniczem,
Ani ją żądz zmysłowych porwie zawierucha.

Myśl moja — to serdeczna, rodzona siostrzyca,
To moich wszystkich pragnień władza niepojęta,
Odwieczna duszy smutnej, starganej tęsknica.

Najskrytszych, wielkich dążeń przodownica święta,
Przyjaciół najwierniejszy, co nigdy nie zdradza,
I na białych mnie skrzydłach do nieba wprowadza.



W WIGILIĘ...

Braciom moim...

Białym opłatkiem dzielę się dziś z Wami
Bracia dalecy, — co w murach posępnych,
Nie znacie słońca blasków niedostępnych,
I za Ojczyzny bładzicie krańcami.

Przebywam duchem w tej poważnej chwili,
Z Wami — idei wielkich towarzysze,
Widmo nadziei bladych niech kołysze,
Was, coście w powrót do kraju zwątpili.

Wy, co w więziennej bezgranicznej ciszy,
Z modlitwą w niebo wyciągacie ręce,
I pochylacie skronie w wielkiej męce,
O Bracia moi! Niech Was Bóg usłyszy!

Wy, co ciężkimi skuci kajdanami,
W strasznego bólu niemem odrętwieniu,
Wyroki ludzkie znosicie w milczeniu,
Białym opłatkiem dzielę się dziś z Wami!

Nie płaczcie Bracia — chwila przebudzenia,
Ze snu długiego, przecież niedaleka,
Toż nie ma siły, co może człowieka,
Okuć na zawsze w łańcuch zapomnienia.

I niema ręki, co byłaby zdolną,
Zamknąć nam usta, na które się ciśnie
Słowo: »Ojczyzna« bo ono rozbłyśnie,
Płomieniem w duszy, która chce być wolną.

Nie płaczcie Bracia — nadejdzie zapłata,
I praca Wasza nie zostanie marną,
W bujne gałęzie wyrośnie to ziarno,
Coście je we łzach siewali przez lata.

I nigdy, nigdy nie zgaśnie ognisko,
Co w sercach Waszych znękanych zatleje,
A silna wiara i młode nadzieje,
Nowych dążeń zakreslą kolisko.

Dziś Wam ten polski posyłam opłatek,
Z ojczystej gleby, ten bratni chleb biały,
Niech wszystkie Wasze wspólne ideały,
Łączą się w wiecznej miłości zadatek.

Niech serca Wasze próżno się nie smućą,
Że cierniem tkane upływa im życie,
Jeśli do kraju żywi nie wrócicie,
To duchy Wasze napewno powrócą.

W murach wilgotnych, śląc modły gorące,
Przed Tron Niebieski, za ojców, za dzieci,
Gdy Słowo Święte w bezmiary gdzieś leci,
Bądźcie tysiącem — walcząc za tysiące.

O Bracia moi smutni, umęczeni,
Niech dusze Wasze nowe siły czerpią,
»Błogosławieni, którzy cicho cierpią,
Albowiem oni będą pocieszeni.«

O Bracia, Bracia moi,
Czegóż dziś życzyć Wam?
Gdy głos Wasz z twierdz podwoi,
Do niebios płynie bram,
Gdy wiara serca koi,
Zadając ustom kłam.

.

O Bracia, Bracia moi,
Czegóż dziś życzyć Wam?

Napróżno duch Wasz blady,
Wytęża w bezkres wzrok,
Na niebie gwiazd miryady,
Na ziemi cień i mrok,
Hen, krwawe znacząc ślady,
Za rokiem idzie rok.

.

Napróżno duch Wasz blady,
Wytęża w bezkres wzrok.

Śnieg biały stroi pola,
W łabędzi miękki puch,

Sieroca Wasza dola,
Zbłąkany, smutny duch,
W kajdanach własna wola,
W kajdanach myśl i słuch.

.

Śnieg biały stroi pola,
W łabędzi, miękki puch.

Z serc Waszych myśl — tęsknica,
W ojczyście strony mknie,
Zbielały smętne lica,
Bez słońca szare dnie,
A mękę wciąż podsycą,
Ten żar, co w piersiach tchnie,

.

Z serc Waszych myśl — tęsknica,
W ojczyście strony mknie.

Z daleka do Was leci,
Zbudzonej pieśni dźwięk,
Drzemiąca od stuleci,
Dziś ludów niesie jęk,
Nadzieją w sercach świeci,
Lub nowy budzi lęk.

.

Zdaleka do Was leci,
Zbudzonej pieśni dźwięk.

O Bracia! Niech pieśń owa,
Co zmartwychwstaje w Was,
Co wolność w sobie chowa,
Bagietów przedrze las,
Niech wolne niesie słowa,
Największy nadszedł czas.

.

O Bracia! Niech pieśń owa,
Dziś zmartwychwstaje w Was!

Dla tych co cierpią, dla tych co płaczą,
Bez jęku i bez skarg,
Co drogę życia krwią własną znaczą,
Z bladością niemych warg.

Co w wielkim bólu wewnętrznej męki,
Gdy wkoło walka wre,
Na wroga nigdy nie wznoszą ręki,
W modlitwie pędząc dnie.

Radabym blaski słonecznej mocy,
U stóp skrwawionych słać,
Z dusz rozbolałych cień wiecznej nocy,
Rękami memi rwać.

Dla tych — bym chciała chwilę niedoli,
Zamienić w lepsze dni,
Wyjąć z serc smutnych wszystko co boli,
I wypić wszystkie łzy...



Z DNA SERCA...

Tobie...

U stóp Twych składam tę wiązanekę kwietną,
Rośliną rajska napelnione czary,
Zanim nam Parki przedzę Życia przetną,
Przyjm moich uczuć młode nenufary,
Polnemi maki uwite ust kruże,
Bławatki spojrzeń i lic moich róże.

Do stóp Twych rzucam myśli moich kłosa,
I cichych pragnień leśne macierzanki,
Jedwabnych włosów błyszczące pokosa,
I dni minionych powiędnięte wianki,
Uśmiechów rzadkich omdlałe powoje,
I rosę kwiatów, łzy smutne... łzy moje...

Na Twoich skrzypkach cudny ton,
Ze struny wyrwij złotej,
Niechaj mi śpiewa niby dzwon,
Pieśń szczęścia i tęsknoty.

Niechaj mi śpiewa, niechaj drży,
Melodyi cichem echem,
I niech w tej chwili będzie mi,
I bólem i uśmiechem.

Niechaj zapomnę, że ten świat,
Przebiegam w łzach i trudzie,
Niech nie pamiętam wszystkich strat,
I, — że mnie gnębią ludzie.

A kiedy wonny, kwietny maj,
Do życia świat poruszy,
To Ty mi pieśni Swoje graj,
Na strunach mojej duszy.

Kocham Cię kocham...
Niech Ci ta nocka księżycowa,
Zaniesie moje ciche słowa,
Niechaj je w gwiazdę brylantową,
Rozetli ponad Twoją głowę,
Niech nad konturem ust — koralu,
Tysiącem ogni je zapali,
Niech niemi skronie Twoje pieści,
.
I niech mą duszę w Twojej mieści.

O graj mi jeszcze! Niech skrzypków tony,
Zbolałe serce pieśnią kołyszają,
Na Ciebie zwrócę wzrok rozmodlony,
Niech wszystkie zmysły Twą piosnkę słyszą.

Gdy z pod Twej ręki rzewna wypływa,
W niej tyle smutku uczucia tyle,
Nic nie pamiętam — jestem szczęśliwa,
Jestem szczęśliwa — chociaż na chwilę.

I rwie się dusza gdzieś w inne światy,
Leci odziana w puchy łabędzie,
Taka jak była kiedyś przed laty,
I taka jak już nigdy nie będzie.

Gdzie jesteś? Czyś się rozwiął pod mgłami białymi,
Czyś spłynął pod chmur szlakiem nie tykając ziemi,
Czyś się w obłok zamienił i zginął w przestworzu,
Czyś zatonął jak łódka gdzieś w bezdennem morzu?

Próżno Cię wkoło szukam po niebie szerokiem,
Próżno Cię moim smutnym wypatruję wzrokiem,
I rwie mi się gdzieś dusza, serce moje płacze,
Że Cię już może nigdy, nigdy nie zobaczę. —

Marzą mi się niekiedy takie dobre chwile,
Któreśmy oto razem przeżyli przed laty,
Pamiętasz? Słońce barwne całowało kwiaty,
A po trawie płaśały pszczoły i motyle.

Rozkołysał się słodko szum borowej głuszy,
I szczebiot polnych świerszczów nad miedzą zieloną,
Złotą falą ozimin drżało ziemi łono,
I kiściami jęczmiennych wiotkich pióropuszy.

Pamiętasz? W blaskach słońca, tak niby przypadkiem,
Po raz pierwszy chwyciłeś w dłonie moje włosy,
I usta przytuliłeś do splecionej kosy.

.

Nie widział nas nikt wtedy — Bóg był tylko świad-
[kiem.

Nigdy się w Twoje nie rwałam uściski,
Ni ust Twych memi nie tknęłam ustami,
A nieraz przecież drogiemi rysami,
I duchem Swoim byłeś mi tak blizki.

Nigdy mnie jeszcze nie garnęło do Cię,
Żadne uczucie zmysłowe i zradne,
Nieraz, gdy dłonie na Twojej głowie kładnę,
Dusza się tylko kłoni ku pieszczocie.

I jak kwiat jestem, którego nie splami,
Żaden brud życia daleki ni blizki,
Nigdy się w Twoje nie rzucę uściski,
Ni ust Twych memi nie dotknę ustami.

Jakże się cudnie dziś słońce rozbliło,
Nad chłodną ziemią nad dywanem śnieżnym,
Niby uściskiem otacza lubieżnym,
Wszystko, co dotąd we śnie długim było.

Świeżą zielenią zajaśniały łany,
Rozwiały chmury swą opończę ciemną,
.
O czemuż teraz nie ma Ciebie ze mną,
Mój Ty słoneczny! Mój umiłowany!



Przyszłam do Ciebie w majowy poranek,
Po przez zielone bezmiary łąkowe,
I z najpiękniejszych kwiatów tkany wianek,
Na Twoją ciemną położyłam głowę.

Przyszłam do Ciebie, gdy się w słońcu chwiały,
Jabłonie w kwietne odziane pąkowie.
Przyszłam do Ciebie i jak anioł biały,
Wniosłam Ci spokój i ciszę i zdrowie.

Pisz do mnie — niech nas chociaż jedno słowa łączą,
Mów mi je choć z oddali — wylewaj sto razy,
Na papier z pod Twojej ręki te drogie wyrazy
Te pragnienia, co nigdy, nigdy się nie skończą.

Pisz do mnie — Ty wiesz przecież, co myślę, co czuję,
Gdy czytam Twoje listy, i gdzie wtedy jestem,
Gdy białe karty z cichym przerzucam szelestem,
Tracąc świadomość tego, co mi życie truje. —

Marienbad, 1909 r.

Dałam Ci wszystko, co dać byłam w stanie,
Każdą myśl moją, każde serca drgnienie,
Tęsknotę wielką, moich piersi tchnienie,
I duszę moją i umiłowanie.

Dałam Ci źrenic spokojne roztocze,
Melodyę głosu, wszystkich pieśni tony,
Wzrok mój do ducha Twego rozmodlony,
I moje płowe, jedwabne warkocze.

Dałam Ci dłonie, któremi Ci pieścić
Czoło Twe jasne jak wiosny zaranie,
Dałam Ci wszystko, co dać byłam w stanie,
I czegoż żądasz, czegoż pragniesz jeszcze.

O mój kochanku! Na co nam powtarzać,
Tych świętych przysięg tajemnicze słowa,
Na co nam jakieś nowe światy stwarzać?

Patrz: oto słońca tarcza purpurowa,
I woń tych lilij i wiosna na ziemi,
Będą na zawsze świadkami naszymi.

Bóg nas połączył — nie rozłączą ludzie,
Choćby przemocą rozerwać nas chcieli,
Pójdziemy razem i we łzach i w trudzie.

A chociaż śmierć nas na ziemi rozdzieli,
Spłyniemy skuci w wieczności łańcuchy,
W bezkresną przestrzeń nieśmiertelne duchy.

Na co spojrzę dokoła smutnemi oczyma,
Czego tylko się dotknę moją białą dłońią,
Wszystko mi Ciebie dzisiaj ciągle przypomina.

Zielonymi świerkami stroi się dolina,
I te same motyle po gąszczach się gonią,
I słońce stoi w złocie — tylko Ciebie niema.

Szyję Twoją rękami białemi uściskę,
I zasłuchana cała w ciszę wniebowziętą,
Pieszcząc falę Twych włosów nad czołem rozpiętą,
Na piersiach drogich niby ptak w słońcu zawisnę,
I patrzeć będę w Twoją twarz od lilij bladszą,
Wzrokiem takim jak tylko anioły się patrzą.

Przymykam oczy — mów.. niech głos Twój słyszę,
Niech mi przerywa tę przekłętą ciszę,
Czaruj mi duszę potokami słów,
Mów do mnie, mów...

Gwiazdy się złotą rozbłyśły gromadą,
A głos Twój spływa kwiecistą kaskadą,
Przewonnych lilij i urokiem bzów,
Mów do mnie, mów...

Spojrzyj się na mnie... Słońcami się Twoje,
Oczy rozbłysły — szeroką źrenicą,
Wodzis, jak gdyby świetlną błyskawicą
Po której rajskie mającą spokoje;

Nadziemska słodycz lśni na Twojej twarzy,
Żadnem zmysłowem drgnieniem niedotknięta,
O! taka boskość nieskalanie święta,
Tylko na licach Aniołów się marzy.

Zatapiam chłodne usta w Twoich włosów fale,
Tak cicho — dwóch serc naszych słysząc uderzenia,
Tak cicho — że Ci dłońmi tuląc warg korale,
Zatracam całkowitą świadomość istnienia.

Dusza znów jest przy Tobie, i czysta i biała,
A myśl mi po bezskresnych pustyniach gdzieś błądzi,
.
O! jeśli kiedyś kochałbym Ciebie przestała,
To niech mnie za przestępstwo to sam Bóg osądzi.

Przed wizyą Twojej drogiej uklękam postaci,
O duchu Ty mój dobry — gdy w cichej zadumie,
Na widok bratniej twarzy oddech w piersiach tłumię,
Prostotą Twojej duszy — moja się bogaci.

Zda mi się zmiłkło wszystko i śpiewacy leśni,
Ucichli zapatrzeni w przecudne zjawisko,
Zaraz Cię chwycę — przecież widzę Cię tak blisko,
Płyniesz, na czystych skrzydłach moich własnych
[pieśni.

O wyjmij serce z mojej piersi białej,
I ukryj dobrze w Twoje dłonie drżące,
Aby go ludzkich oczu skry palące,
I podłe stopy w proch nie rozdeptały;

O wyjmij serce, pochwyć je w ramiona,
I Swoim drogim ogrzej je oddechem,
Owiane ciepłym, promiennym uśmiechem,
Żyć będzie wiecznie choć mi ciało skona.

Rozpleć mi włosy, i owiń się niemi,
Jak kwiat się mgłami owija białemi,
Niech Cię koroną uwieńczą te sploty,
Jak młode dęby słońca promień złoty,
I gęstwą swoją przed oczyma Twemi,
Niech mi zasłonią wszystko zło na ziemi.

O przyjdź Ty do mnie w jeden zmierzch posępny,
Kiedy mi głowa zacięży ołowiem,
W mrocznej przestrzeni, duchu niedostępny,
Pieśń najpiękniejszą Ci z mych pieśni powiem.

Wieczór zamglony będzie lśniący nowiem,
Wichrem utkany będzie dzień następny,
Pieśń najpiękniejszą Ci z mych pieśni powiem,
Tylko przyjdź do mnie duchu niedostępny.

W rozgłębie Twoich źrenic o zmroku zaglądam,
I czarem spojrzeń bratnich oczy własne poję,
W półcieniu się rysują drobne usta Twoje,
Całunków, których nigdy, nigdy nie pożadam.

Ani mi nawet kiedy w umyśle powstanie,
Pieszczota jakaś inna, ponad uścisk dłoni,
Gdy Twoja droga głowa na pierś mi się kłoni,
Silniejsze w duszy mojej wzbudzając kochanie.

Daj rękę — czemu taka obojętna, chłodna,
Czemu tak jakoś dziwnie patrzą Twoje oczy?
Nie męcz mnie, nie dręcz dłużej — życia mi nie
[zmroczy
Nic, bo już czarę smutku wychyliłam do dna.

Kiedyś twarz Twoja była słodka i pogodna,
Jak słońce, co w poranki po dniach chmurnych
[kroczy.
Dzisiaj, tak jakoś smutnie patrzą Twoje oczy,
Daj rękę — czemu taka obojętna, chłodna.

Wzywasz mnie — słyszę głos Twój w wichrów
[szumie,
W pomrukach jęków pochmurnej jesieni,
Jak ciepłe tchnienie majowych promieni,
Każdy szept słowa czuję i rozumię.

Wzywasz mnie — idę — — z poza krańców świata
Śpieszę do Ciebie przez ciernistą drogę,
Ale Cię nigdzie odnaleźć nie mogę,
Bo głos Twój oto ze wszech stron przylata.

Jak ptak, tak głos Twój krąży ponademną,
Jakby modlitwa Archaniołów święta,
Boskimi tony zrywa smutków pęta,
Rozjaśnia nocy przepaść głuchą, ciemną.

Dźwięk jego leci — tęsknotą wzajemną,
Wszystkie łzy moje, wszystkie żale kruszy,
Do dna dociera mojej własnej duszy,
A można za nim iść w przepaść podziemną.

Tchnieniem niebiańskim przebudzona co dnia,
Nowej miłości wypijam haszysze,
Wiosenną wonią świat mi wokół dysze,
A głos Twój w oczach staje jak pochodnia.

Najcichszem drgnieniem do serca przenika,
Zaczarowanym się zdaje ogrodem,
Gwiazd promienistych złotym korowodem,
Jest dla mnie głosu Twojego muzyka.

O przyjdź Ty do mnie nieprzebrzmiała pieśni,
Kochanku duszy — harfo złotostrunna,
Zorzo Ty moja wielka jasno-łunna,
Tyś snem, co nigdy, nigdy się nie prześni.

O przyjdź Ty do mnie — przez rajskie podwoje,
Dłoń nam podadzą biali aniołowie,
Z wieńcami kwiatów barwistych na głowie,
W kraje upojeń pójdziemy we dwoje.

Dłoń Twoja skroń mą ku sobie przygarnie,
Iść będziemy, poprzez łany żytnie,
My w duszach mamy słoneczne cieplarnie,
W nich miłość nasza niby kwiat wykwitnie.

Wkoło nas lilje rozwieją się drżące,
I kwiatem swoim stopy nam okolą,
Pójdziemy razem po długiej rozłące,
Po łzach serdeczną utkanych niedolą.

Stuletnie drzewa do stóp się pokłonią,
Na miękkich włosach słowiki nam siędą,
Szerokie krzewy przed wichrem osłonią,
I ciche skargi słodko szumieć będą.

Na skroniach naszych tęczy kolorami,
Zapłonie szczęście wieczne, nie ułudne,
I przyjdą ptaki, z szaremi skrzydłami,
I łkać nam będą swoje pieśni cudne.

Weź moją głowę w Twoje chłodne dłonie,
Czujesz, jak krew mi silnie w skroniach bije,
Jak mi oblewa twarz, usta i szyję,
Jakim pożarem czoło moje płonie.

Na chwilę szybciej uderzyło we mnie,
Serce spragnione gorącej pieśczoły,
Na chwilę błysnął szczęścia promyk złoty,
I znów Cię muszę czekać nadaremnie.

Kocham Cię za to, że masz duszę młodą,
Żeś moje dłonie własnym tchem ogrzewał,
Żeś mi otuchę w smutne serce wlewał,
Dobrym uśmiechem, z słoneczną pogodą.

Kocham Cię za to, żeś wskazał bezpieczne
Ścieżyny życia i smutku ostoję,
Żeś nieraz słowem łagodził łzy moje,
I goił rany głębokie, serdeczne.

Kocham Cię za to, że Cię nigdy ku mnie,
Żadna myśl zgubna, zmysłowa nie zbliża,
Że się w mych oczach nigdy nie poniża
Serce, co czci mnie i uwielbia dumnie.

Kocham Cię za to, żeś mi dał poznanie
Miłości wielkiej, świętej i niewinnej,
Dziwnie spokojnej i nawpół dziecinnej,
I takie drogie, młodzieńcze kochanie.

Wszystko mi wkoło Twe imię powtarza
Zaklętem jakimś brzmieniem je odzywa,
Odmienną barwą zielenieje niwa,
W odmienną szatę las się przeobraża.

Gdziekolwiek stąpnę, tylko imię jedno,
Przez wszystkie skalne światy się przepycha,
Jego to dźwiękiem dusza mi oddycha,
Imiona inne przy niem gną się... błedną...

Przytul się do mnie o Ty upragniony,
Moje wyśnienie snów złote,
Niech tak, jak w zboże młody mak czerwony,
W ramiona Twoje się wplotę.

Ty mnie w objęcia chwycisz drżący cały
I spojrzysz w oczy marzące,
A w Twych źrenicach ujrzę skarb niemały,
Wiosnę, i kwiaty i słońce.

Po dniach marzenia i błogich upojeń,
Wracałeś ze mną do dziedziny własnej,
Byłam Ci dobrem wyśnieniem Twych rojeń,
I niosłam szczęścia promień cichy jasny.

Wracałeś ze mną przez łąk aromaty,
Przez las złotemi usypany igły.

.

Ale nas martwych niesiono do chaty,
Bo w tem kochaniu serca nam zastygły.



Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM 313742



000-313742-00-0

